

Rozejm bożonarodzeniowy. Nowela świąteczna



Ilustracja rozejmu bożonarodzeniowego 1914 z „The Illustrated London News”, styczeń 1915

Stanął przed nami niemiecki poślaniec i powiedział, że jeśli my nie będziemy strzelać, to oni również nie będą. W te święta możemy połączyć siły i poszukać ciał niedawno poległych kolegów, by pochować je.

W ciasnych okopach człowiek na człowieku. Zimno, ciemno, nieprzyjemnie. Z tyłu głowy plątał się głód, wyczerpanie, na twarzach zaś twardo odbijała się tęsknota. Gdzieś, wiele kilometrów dalej, czekała mama jednego z nas z ciepłą zupą w garnku, a mały synek drugiego akurat wieszał bombki na pachnącej choince. My w tym czasie w okopach czekaliśmy na strzał. Jakże nieprzyjemna to była noc. Nie zmrużył oka chyba żaden z nas. Patrzyliśmy na siebie bez słów, a jednak mówiąc tak wiele, dzieląc się w milczeniu najpiękniejszymi wspomnieniami, które wtedy bolały jak ciężki głaz, wciąż tłumiący najskrytsze nadzieje na biały obrus i srebrne sztućce przy wigilijnym stole.

Poranek był piękny. Tańczące z wiatrem małe płatki śniegu przykrywały już nieświeże pozostałości z trawy, niegdyś pięknej, soczysto zielonej, już od miesiący jednak wyglądającej

na podwiedłtą. Słońce świeciło jasno, dawało piękny błysk, a przez kontrast z białym puchem wydawało się namalowane. Jakby ktoś je domalował, by stłumić szumiący w uszach wiatr, lecz zrobił to nieskutecznie. Zimne podmuchy wciąż wydawały się wojować ze złotymi promieniami oraz szybko przejmowały nad nimi tego dnia przewagę. Wygrywały dominującą melodię świstów, pod którą prosiło się tylko podłożyć dźwięk skrzypiec. Siarczysty mróz i ostre słońce walczyły dzień w dzień, ale jak w tańcu, bez nienawiści i bez o2ar. Codziennie stawwały twarzą w twarz z przeciwnikiem, by któreś z nich mogło przejść dany dzień. Tego poranka, mimo sporów, połączyły siły i razem nadawały niesamowitego klimatu nieprzyjemnej scenerii. W dzień słychać było strzały. Na początku kilka, potem cisza, potem znowu strzał i kolejny. Słyszeliśmy kłujące nasze uszy rozkazy, pojedyncze krzyki. Przez cały czas stałem wtedy z bronią i czekałem, w którą stronę będzie musiała wystrzelić. W tym momencie jedyne, czego chciałem, to usiąść i napisać jeden list. Do niej. Chciałem zapewnić ją, że czuję się dobrze, że wciąż się nie poddajemy i że jeszcze do niej wrócę. Napisałbym, że ją kocham, by chociaż te słowa były z nią w ten świąteczny czas.

Wraz z upływem godzin strzałów było mniej po obu stronach. Nikt nie zwrócił na to uwagi, dopóki nie zapadł zmrok. Zapanowała wtedy kompletna cisza, jakiej nie było tu od miesięcy. Chwilę później dostrzegłem coś zdumiewająco. Wszędzie, gdzie tylko człowiek mógł zaczepić oko, niemieckie pozycje mieniły się setkami światełek. Na linii okopów stały małe choinki, a na nich gęsto wisały lampiony ze świeczkami, które dumnie rozświetlały mroźne powietrze najjaśniej jak mogły. Gdy po twarzach innych żołnierzy zrozumiałem, że nie tylko ja to widzę, a całość nie jest tylko żartobliwą pętlą w moim wycieńczonym umyśle, nie mogłem w to uwierzyć. Świąta...

Niedługo później usłyszeliśmy, jak Niemcy zaczęli śpiewać „Stille Nacht”. Łamiące się głosy z każdą sylabą nabierały pewności, a kolęda niedługo później była śpiewana niczym hymn. W tym wszystkim słyszeliśmy nutę radości, nietłumioną przez rozpaczliwe płacze z poprzednich dni. Kiedy skończyli, chłopcy z naszego okopu zaczęli ochoczo bić brawo, po czym zaintonowali „The First Noel”. Wszyscy zaczęliśmy śpiewać, a nasze głosy szybko złączyły się w jeden, silny głos, który byłby w stanie przedrzeć się przez każdą śnieżycę, mur, a nawet wojnę. Dawaliśmy muzykę niesamowitemu tańcu słońca ze śniegiem, za co Niemcy również nagrodzili nas gorącymi brawami, po czym zaśpiewali „O Tannenbaum”. Odpowiedzieliśmy im pięknym „O Come All Ye Faithful”, które na chwilę znowu przeniosło mnie do ciepłego domu, w którym w zeszłoroczne święta otwieraliśmy przy tej kolędzie prezenty. Siedząc razem z ukochaną na dywanie i śmiejąc się naprzemiennie. Następnie moje serce ogrzała ta sama kolęda po łacinie, zaśpiewana dumnie przez naszych wojennych przeciwników.

Nie byłem w stanie wyobrazić sobie niczego bardziej nieprawdopodobnego, siedząc w okopach w czasie wojny, po nieprzespanej nocy. Okazało się jednak, że śpiewanie nie było tylko osłodą przed wykonaniem pierwszego strzału. Następnego poranek zaczął się zupełnie inaczej niż wszystkie poprzednie. Od początku nie było słychać ani jednego rozkazu, panowała cisza, przeciągnięta z poprzedniego wieczoru. Wtedy stanął przed nami niemiecki poślaniec i powiedział, że jeśli my nie będziemy strzelać, to oni również nie będą. W te święta możemy połączyć siły i zamiast kłaść kolejne, puste, bez duszy już ciała na świeżym śniegu, możemy razem poszukać ciał niedawno poległych i je pochować. Ostatecznie obie strony umówiły się na zawieszenie broni i wspólne szukanie ciał zmarłych kolegów.

Wyszliśmy więc wszyscy z okopów i stanęliśmy twarzą w twarz z wrogami, którzy na jedną chwilę byli po tej samej stronie co my. Niemiec naprzeciwko Brytyjczyka, ale żaden z nich nie wyciągnął broni. Strach i niepewność szybko wróciły do okopów i przez moment wszyscy byliśmy po prostu ludźmi, dla których aga na mundurze ustąpiła człowieczeństwu. Boże Narodziny, które od wieków łączyły rodziny przy jednym stole, wtedy otworzyły mur dwóch frontów, by człowiek mógł je świętować z człowiekiem, a nie z trupem.

Znaleźliśmy sześćdziesięciu dziewięciu poległych i pochowaliśmy wszystkich we wspólnej mogile, jak przyjaciół, a nie wrogów, modląc się w wielu językach, wszyscy razem, stojąc ramieniem w ramię. Przy akompaniamencie dudziarza wybrzmiał Psalm 23, który zaśpiewaliśmy wspólnie, choć każdy po swojemu. Później miało miejsce nabożeństwo, odprawione na ziem niczyjej. Wszyscy znowu stanęliśmy obok siebie, by przeżyć wspólnie to, czego nie mogliśmy odbyć wtedy z rodzinami. Każdego wcześniejszego roku przeżywałem święta z dziewczyną, a wtedy za nic w świecie nie uwierzyłbym, że w tak niedalekim czasie będę na wojnie, a co dopiero, że będę modlić się o jedno i to samo z przeciwnikiem u boku. Był to widok nadzwyczajny, a tym samym naprawdę piękny. Niejednemu do oczu cisnęły się łzy wzruszenia, o których zapomnieliśmy już dawno przed lipcem. Nasz kapelan czytał modlitwy w języku angielskim, po niemiecku czytał je zaś chłopak, który ten język studiował. Niemcy stali po jednej stronie, Anglicy po drugiej, a pośrodku stali obok siebie o3cerowie. Wszyscy z odkrytymi głowami, pozwalając, by drobne, białe płatki śniegu ozdabiały nam świątecznie włosy. Jak w każde poprzednie święta, nie zabrakło też prezentów. Najpierw Niemcy obdarowali nas hojnie beczką piwa, na co my daliśmy im nasz śliwkowy pudding. Nastąpiło południe, a większość brytyjskich żołnierzy była już zbratana z niemieckimi. Wzajemnie składaliśmy sobie życzenia świąteczne, coraz bardziej życzliwe, podając odważniej dłonie. Niektórzy dawali sobie nawzajem drobne upominki, takie jak kawa czy papierosy. Ktoś dał komuś swój pamiętnik, ktoś podpisał się na pocztówce, inny zanotował swój adres w czymś notesie. Jeden Anglik zagrał na harmonijce ustnej niemieckiego żołnierza, inni tańczyli, jeszcze inni dumnie paradowali w niemieckich hełmach. Najpierw niepewnie, potem jednak po kolei zaczęliśmy razem uśmiechać się, patrzeć na siebie nawzajem jak na równych, wszystkich stojących na tym samym śniegu, stworzonych przez tego samego Boga. Każdy z nas był tam z powodu wojny, która zesłała na drugi plan wraz ze wzajemnym uściskiem dłoni o3cerów i żołnierzy.

Ja najpierw podszedłem do mężczyzny, na oko dziesięć lat starszego ode mnie. Miałem wrażenie, że wpatrywał się we mnie od pewnego czasu. Gdy stanąłem wprost przed nim, nie uśmiechnął się, ale zdjął skórzaną rękawiczkę i podał mi rękę. Spojrzałem na niego lekko w górę, po czym również wyciągnąłem prawą dłoń w jego stronę.

– Co ty tu robisz, chłopcze? – powiedział od razu. – Front to nie miejsce dla ciebie. Powinieneś być teraz w domu, z rodziną. Boże drogi, kto nas na to skazał? Kto skazał te dzieci? Niech wrócą do matek – mężczyzna popatrzył w niebo błagalnie i podniósł na chwilę ręce.

– Wrócę. Kiedyś będę znowu z nimi, ale wierzę, że nie mogę teraz nic więcej zrobić...

– To wszystko nie ma sensu – przerwał mi mężczyzna. – Zabijamy się nawzajem, by wrócić do naszych najbliższych. Niedługo nikt z nas nie pozostanie. Myślę, że i tak już umarliśmy w dużej części i nawet jeśli wrócimy do domu, będziemy z tą martwicą żyli do końca życia. Wojna przynosi tylko zło i zniszczenie narodów. Niszczy każdego biorącego w niej udział człowieka,

czy jest na pierwszej linii frontu, czy decyduje jako władca kraju za długim białym stołem. Jak mawiał Hipokrates, na wojnie tylko chirurg się uczy.

Mężczyzna urwał na chwilę, by rozejrzeć się dokoła.

– O co my właściwie walczymy? Komu te ziemie?

– Co pan tu robi? – odbiłem gładko to pytanie, będąc ciekawym jego odpowiedzi.

– Nie chciałem się tu znaleźć, jak raczej każdy. Teraz walczę, by wrócić do domu, zobaczyć syna. Jest jeszcze malutki, wiesz? Tak bardzo pragnę, by nie musiał stać nigdy na twoim miejscu i by moja jeszcze nienarodzona córka nie musiała nigdy czekać na swojego męża w niepewności, czy jeszcze go zobaczy – powiedział, a ja dopiero po chwili zobaczyłem, że patrzy na moją obrączkę.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, mieszając nawzajem nasz ból, jakby taka mieszanka mogła go doszczętnie rozpuścić.

– Pozdrów ją ode mnie – powiedział mężczyzna, powoli się odwracając. – Jak ma na imię pana syn? – zatrzymałem go pytaniem.

– Wiktor.

– Obiecuję, że jeśli bezpiecznie wrócę do domu i będę miał syna, tak właśnie go nazwę! Na cześć tej chwili, zwycięstwa dobra nad złem, człowieczeństwa nad bezczłowieczem.

Zobaczyłem w oczach mężczyzny coraz więcej łez, co wydawało mi się mimo wszystko zbyt mocną reakcją na moje wyznanie. Patrzyłem na niego przez dłuższą chwilę, po czym jakby wyczytał moje zdezorientowanie, zaczął mówić:

– Wiesz kto też miał tak na imię? Mój najukochańszy brat. Był taki podobny do ciebie...

– Co się stało z pańskim bratem?

Mężczyzna milczał przez chwilę, po czym łamiącym głosem odpowiedział mi:

– Leży w tej mogile. Spędza święta z sześćdziesięcioma ośmioma innymi braćmi, mężami i ojcami. Oni, tak jak my teraz, też już nie patrzą na stronę konfliktu. Tam wojna staje się nieważna. Wiktor jest już z Bogiem w dniu pamiątki Narodzenia Boga – przerwał na chwilę, jakby chciał dać mi czas na przemyślenie jego słów. – Nie powinieneś tu być, chłopcze. Pomodlę się, byś wrócił szczęśliwie do ukochanej. Byśmy wszyscy wrócili do domu.

Gdy skończył mówić, włożył rękę do kieszeni, po czym wyciągnął z niej tabliczkę czekolady i dał mi ją, a ja wtedy podałem mu małą paczuszkę kawy. Potem obaj bez słowa odwróciliśmy się i poszliśmy w dwie przeciwne strony.

Rozegraliśmy potem wszyscy, na ziemi niczyjej, mecz piłki nożnej. Zdjęliśmy z siebie nawzajem grube peleryny, pod którymi wciąż wiernie czekały młodość i zwykła chęć szczęścia, uśmiechu,

życia (nie tylko zwycięstwa). Przez dziesiątki minut biegaliśmy dookoła, kopiąc piłkę, czasem popychając się, ale i pomagając sobie wstać.

Nasz mecz zakończył – przy stanie 3:2 dla Niemców – wystający drut kolczasty, na który nabiła się, po jednym z kopnięć, nasza na szybko zrobiona piłka. Wszyscy jednak dalej pozostali na wybieganej podczas meczu ziemi, razem spędzając czas, jak gdyby nigdy nie chcieli być już sobie wrody, jakby ta wojna była przeciw nim samym, a w naturze ludzkiej był zawsze pokój, braterstwo i jedność. Ten mały rozejm był wielką wygraną tej wojny.

Od autorki:

Rozejm bożonarodzeniowy był jedyny w swoim rodzaju i w 1914 r. podczas I wojny światowej zdarzył się naprawdę, chociaż niektóre fragmenty powyższej historii są wymyślone.

Do końca drugiego dnia świąt na całej długości frontu nie odbyły się żadne walki. W niektórych miejscach rozejm utrzymano do nowego roku, a Szkoci utrzymali go do trzeciego stycznia. Niestety jednak nastał moment, w którym walki znowu rozgorzały, a świat nigdy więcej nie powtórzył już czegoś takiego jak rozejm bożonarodzeniowy z 1914 roku na froncie zachodnim.

Do dzisiejszego dnia jest on jednym z najjaśniejszych punktów w historii i udowadnia nam, że nie musimy walczyć. Ludzie chcą być tylko ludźmi. Gdyby nie garstka władców o własnych poglądach i celach, wojen mogłoby nie być. Zamiast wspomnianego rozejmu, ludzie ci mogliby rozgrywać mecze w swoich domach czy ogrodach z rodziną, rodzeństwem lub sąsiadami. Mogliby posłuchać kolęd ze swoimi ukochanymi i nie chować braci w zbiorowej mogile. Czy zamiast wojennych igrzysk nie wystarczyłyby sportowe? Ilu nieszczęść można by uniknąć...

Ponad sto lat temu Boże Narodzenie połączyło ludzi, którzy wcześniej zabijali siebie nawzajem od miesięcy. W ten jeden cudowny dzień w roku podali sobie ręce i przyjęli się nawzajem jako ludzie, tacy sami jak oni. Żaden wyższy oścer nie dał rady zabrać im tego spokoju na ten czas, dopełnili swego i spędzili spokojnie święta, w takim samym składzie, jak je zaczęli. Rozejm wywołał uśmiech na ich twarzach, wspólna modlitwa za zmarłych utuliła ich serca. Materiałowa piłka zawiązała pewne relacje u młodych, u starszych wystarczyło trochę sypkiej kawy. Tak dużo potrzeba?

Na myśl przychodzą mi słowa Emily Dickinson, która pisała w swoim wierszu, że „pokoju nas uczy opowieść o bitwach”. Powinniśmy zaprzestać wszelkich rujnujących bitew i dążyć do rozejmu i pokoju w krajach, rodzinach, przyjaźniach. Rozpocząć to już teraz, już dziś, nie czekając na święta. Zwłaszcza mieszkając w kraju, za którego wschodnią granicą toczy się bestialska wojna – zamiast stroić choinkę dziesiątkami ozdób i ścierać kurz z najszybszych kątów naszego mieszkania – postarajmy się zająć najpierw doczyszczaniem naszych serc, sumienia i duszy. By w tym mieszkaniu później wspólnie usiąść i złapać się za ręce, zaśpiewać kolędy w śniegu i w słońcu, ucząc się od nich konfliktów w rytmie tańca. Ja zaczynam.